

Gulczyński, Mariusz

10 hektarów Ojczyzny

Biezuńskie Zeszyty Historyczne 11, 97-102

1997

Artykuł został zdigitalizowany i opracowany do udostępnienia w internecie przez Muzeum Historii Polski w ramach prac podejmowanych na rzecz zapewnienia otwartego, powszechnego i trwałego dostępu do polskiego dorobku naukowego i kulturalnego. Artykuł jest umieszczony w kolekcji cyfrowej bazhum.muzhp.pl, gromadzącej zawartość polskich czasopism humanistycznych i społecznych oraz w kolekcji mazowieckich czasopism regionalnych mazowsze.hist.pl.

Tekst jest udostępniony do wykorzystania w ramach dozwolonego użytku.

Ze wspomnień...

Mariusz Gulczyński, Warszawa^{*)}

Publikowany niżej tekst ma wymowę uniwersalną: definiuje istotę patriotyzmu typowego dla chłopskiej części polskiego narodu. Cechującego się konkretnością – przywiązaniem do wymiernej w morgach czy hektarach Ojcowizny, odpowiedzialnością za żyjące na tym kawałku Ojczyzny rośliny, zwierzęta i ludzi, bohaterstwem nieatrakcyjnym – bo w mozole i utyłtaniu brudem się przejawiającym, a i nieuświadomianym najczęściej, bądź wstydliwie skrywanym. Z tego się bierze wspólny wszystkim ludziom wyrosłym w warunkach dominacji pracy nad wypożyczaniem etos obowiązkowości, osiągania satysfakcji nie z próżnej rozrywki i bezczynności, ale z poczucia dobrze spełnionych obowiązków wobec natury i społeczności, dumy z osiągniętego własnym trudem i pomysłem dzieła. Zaakcentowanie takiej właśnie – uniwersalnej wymowy, przesądziło o opublikowaniu go pierwotnie (w „Argumentach”, Nr 32 z 11.08.1968 r.) w formie rodziny przedstawianej jako typowa, a zatem celowo bez danych personalnych i adresu.

Nie jest to jednak portret wymyślony, lecz spisany z „natury”. Wiernie odtwarzający postaci i zachowania członków rodziny mojego Brata – Eugeniusza Gulczyńskiego, z przynależnego bieżeńskiej parafii Felcyna. Sporo się od czasu przedstawionego w tym tekście zmieniło. Zmarła Babcia Bronisława – dopadł ją w 82 roku życia udar przy dojeniu krów, dopominających się rykiem o ulżenie wymionom pod nieobecność młodej Gospodyni. Zdażyła jeszcze prababciować dwóm synkom Jędrka, któremu udało się jednak znaleźć żonę godzącą się na gospodarstwo. Dziś jeden z nich – Darek, współgospodarzy z Jędrkiem – obecnie głową rodziny. Janusz – najmłodszy z tego pnia rodu Gulczyńskich, kończy w tym roku matematykę z informatyką na Uniwersytecie Mikołaja Kopernika w Toruniu. Nie ma wśród żywych głównego bohatera tej opowieści: Eugeniusza. Zmarł przedwcześnie, w 64 roku życia na zator płuc po operacji. Zdażył wszelako przed śmiercią zapisać się dobrze w pamięci nie tylko własnej rodziny, ale i okolicznej społeczności. Najpierw jako organizator budowy czynem społecznym świetlicy i dróg utwardzonych w Felcynie. Potem – przewodnicząc Gminnej Radzie Narodowej w Lutocinie – jako inicjator budowy Gminnego Ośrodka Zdrowia. Toteż pożegnała Go godnie ta społeczność, wpisując na szarfie nagrobnego wieńca dedykację prostą i jasną: „Ojcu Wsi”.

Uzupełniając – na życzenie Redakcji „Bieżeńskich Zeszytów Historycznych” – informację konkretyzującą, że opis tych stron i ludzi tu zamieszkałych dotyczy, podkreślam te sformułowania nie bez kozery. Bowiem na tych lichych, piaszczysto-torfianych glebach, wyraziściej niż w żyznych stronach właściwości tego co najgodniejsze w chłopskim etosie się ujawniają. Nie o wyjątkowej rodzinie Gulczyńskich z Felcyna, ale o typowej dla tych stron tekst ten traktuje. I może dlatego właśnie uznany został za zasługujący na przedrukowanie.

*) Prof. dr hab. Mariusz Gulczyński, Instytut Nauk Prawnych PAN.

10 hektarów Ojczyzny

Wstają o 4, kładą się spać po 22, a mimo to zawsze coś zostaje niedopełnione, odłożone na jutro, przyszły tydzień, a niekiedy i lata następne, a należałoby już – wynawozić, zorać, zbronować, obredlić, wypleć, skosić, zwieźć czy wywieźć, zestożyć, omłócić, naprawić, sprzątnąć, zbudować, czy cokolwiek innego wykonać z tych nieprzeliczonych czynności czekających na pomysłuńek i wysiłek gospodarski, mnożących się z postępem agrotechnicznym ostatnich lat szybciej niż nazwy na ich określenie.

— Tata się przykłada, jakby cały świat miał zwojować — ironizuje Jędrek (rudo-blond szczuplak 180 cm wzrostu, 22 lata), ale sam nie mniej robotny, na zmianę z Tatą nadający tempo.

— Robisz, robisz i roboty nie przerobisz; przez dzień ją zmożesz, a rankiem patrzysz – znów stoi przed tobą — zrzędzi Babcia i oświadcza, że przez 74 lata dosyć się napracowała, niech się teraz młodszy posilują, ona gospodarke przekazała i już nie musi. Oświadcza tak już od lat kilkunastu, nie przerywając nieustannej krzątaniny w polu i na podwórku, bo – i tu następuje druga deklaracja — samo się nie robi, a ziemia i inwentarz nie pyta czy człowiek ma ochotę, czy nie. Gdy wskazać babci na sprzeczność jej wypowiedzi, przyznać rację pierwszej i skłaniać do konsekwencji, patrzy nierozumiejącymi, jeśli nie wręcz nie zgorszonymi oczami, no bo jak? Ona miałaby czekać z założonymi rękami, gdy żyto trzeba szybko ściąć, zestygować, zwieźć? Pozwolić, żeby siano zgniło, czekać aż je złapie deszcz, kiedy można pomóc uciec z nim do stodoły? Zgodzić się, żeby brukiew zielsko pokryło? Żeby krowy zastały pusty tok bez wody jak wróć z paśnika? Jest tych spraw nie do odłożenia tyle, że nie zawsze starcza Babcie czasu na popołudniową drzemkę, o którą już się lata dopominają, bo poza tym to Babcia może niejedną młodą przeskoczyć, ruchliwa jak fryga, silna i życia ciekawa – i chyba dzięki tej aktywności odpycha od siebie wraz z robotą starość.

— Ja ją cholere, gospodarke znaczę, niedługo osiodłam tak, że ona będzie dla nas, a nie my dla niej — odgraża się Tata — tylko jeszcze... I tu następuje wyszczególnienie, zmieniające się z biegiem lat, jakie jeszcze trzeba poczynić inwestycje, by potrzeby bytowe rodziny wysunęły się na plan pierwszy przed gospodarczymi, bo teraz żyje się raczej przy okazji, w sferze wyżywienia bez sknerstwa najmniejszego, ale i niezbyt racjonalnie, bo czasu i sił nie starcza, żeby starannie i terminowo przyszykować, więc w czas pilniejszej roboty je się na łapu-capu, i niezbyt można inaczej. Z pola wraca się tylko, żeby krowy, świnię, konie nakarmić, sobie zaś niezbyt się chce

a i może czekać na ugotowanie posiłku, więc szybko jaja na patelnię czy jakąś puszkę konserw z chlebem, mlekiem się popije i znów w pole.

— Najlepiej lubię jak obcy ludzie są w robocie, przy młócce czy budowie, bo wtedy jedzenie musi być gotowane i na czas! — wzdycha Jędrak, chociaż on i na codzień jest wygrany, bo żywi się u Mamy i Babci, zależnie gdzie mu bardziej menu odpowiada.

Z jedzeniem jest nie najgorzej, zawsze jakaś ćwiartka świniaka zasolona, mleka też pod dostatkiem, jaja są, chleb też własnego wypieku – na tym się nie oszczędza. Gorzej z innymi potrzebami, wymagającymi nakładów finansowych, zwłaszcza grubszych – te nazbyt jeszcze często stają w konflikcie z potrzebami reprodukcji prostej i rozszerzonej gospodarki i jak dotąd przesądzone są w 8 przypadkach na 10 na rzecz tej ostatniej, a w istocie pierwszej, jak dotąd pierwszej, bo nie można czekać z melioracją, zakupem nawozów sztucznych, postawieniem nowych zabudowań, podczas gdy ubranie czy sprzęt domowego użytku zawsze zdąży się nabyć.

— Inni na mniejszej ilości morgów, już dawno mają pralki, radia, kobiety w futra poubierane, a tu wciąż się w tę cholerną gospodarkę ładuje i ładuje, jak studnia bez dna wszystko pochłania! — Mama niezbyt może się godzić z taką ekonomią, zwłaszcza że kondycję fizyczną ma niezbyt dostosowaną do takiego tempa i wysiłku roboty, i ubrać się – rzecz ludzka, ściślej: kobieca – lubi, i wreszcie w głowie się nie mieści, jak to być może, żeby z większą ilością morgów nie kojarzył się większy dostatek pod każdym względem. I rzeczywiście tak to jakoś dziwnie jest, że 5- czy 6-hektarowi mniej się uszarpią, a ogólny poziom konsumpcji mają nie gorszy, jeśli nie lepszy, zwłaszcza w sferze dóbr konsumpcyjnych trwałego użytku. Tajemnica tego, zdaniem Taty, kryje się w większych potrzebach i możliwościach rozwinięcia gospodarki stosownie do wymogów nowoczesności na 10 hektarach jak na połowie tego, a wyżyć dostatnio to dziś i z mniejszej gospodarki można. Żeby tak ziemia była lepsza, to już dawno Tata by wywiódł gospodarkę na czysto i byłoby pieniędzy spełna i na wszystko, ale na tych piachach i torfowiskach podszytych rudą darniową ziemia sama z siebie nie urodzi, wszystko tu na ludzkim pocie rośnie, na pomysłu i trudzie niesamowitym, bez tego ani rusz.

— Ale ja ją cholerę wkrótce ujeżdżę, gospodarkę znaczę — mawia Tata — tylko jeszcze... Uskładała się przez lat przeszło dwadzieścia litania, czego to jeszcze nie trzeba zrobić, by gospodarka profitowała niczym samograj. A więc nawozy sztuczne: najpierw były kombinacje różne, żeby zdobyć ile trzeba i jakich trzeba, wypróbować: teraz to już wchodzi w normalny obra-

chunek. Dalej maszyny: podejrzliwie oglądane w czasach naporu kolektywizacyjnego, przyjęły się równie trwale, i już o takim, który tnie kosą czy kopie ziemniaki tradycyjnym sposobem – motyczką na kolanach, opowiada się niczym o dziwołagu i zacofańcu zeszłowiecznym. Melioracje: wiązano z nimi nadzieje duże, bo połowa obszaru tu w wodzie i nic poza chwastem wszelakim nie chciało tu urosnąć – ani krowa tego nie zje, a jak już z wielkiego głodu, to mleka nie da, ani na podściółkę nawet się to niezbyt nadawało, bo wywiezione z gnojem pole zachwaszczało. Szedł więc przez lat kilka i wysiłek, i pieniądze w osuszenie, z połowicznym jak dotąd skutkiem, bo rzeka Łukomka, do której spływać miały wody, okazała się wyżej położona; dopiero teraz wzięło się za to Państwo – kopaczki pogłębiają dno Łukomki i w miarę postępu tej roboty okoliczne łąki doprowadzają do porządku, więc jest nadzieja, że za dwa czy trzy lata i tu dojdzie. Wreszcie zabudowania – to był i jest kłopot największy. Buduje się je już od 1945 roku i końca tej budowy nie widać.

Dom się spalił w 1937 r., pieniądze z fajerkasy – jak zwano wówczas ubezpieczenie – starczyły na wyszykowanie izby w skrzydle obory. Żle to było wyszykowane, bo rozwalało się podtrzymywane drągami i obserwowane z ciągłym strachem, że dach się zawali i ciężka cementowa dachówka przygniecie ludzi i zwierzęta, więc pierwsze powojenne zadanie było oczywiste. Miał na rozwiązanie tego problemu pójść posag Mamy, wżenionej z dużej, półwłókowej gospodarki, ale starczyło na poprawienie tego szopodomu, więc wrychle trzeba było uciekać z budynkiem inwentarskim na drugą stronę.

Przez ten czas stodoła zaczęła się cokolwiek chylić na jedną stronę, nieznacznie wprawdzie i można by lat parę wytrzymać, ale zarazem jakby się skurczyła, nie mieściło się już wszystko zboże – nawozy sztuczne i lepsza uprawa dały znać o sobie. Zbudowaną nową solidnie, smukłą a pakowną, dachem blaszanym krytą, więc bezpieczeństwo, wygoda a i uroda zapewnione. Aliści przez ten czas obora – kiedyś stawiana jakby na wyrost – przestała już mieścić inwentarz, z świniami zwłaszcza kłopot, bo buchty stawiane na 4-6 sztuk niezbyt chcą pomieścić 10-15; a największy kłopot z parnikiem do kartofli. Nie był ten wynalazek zeszłowieczny stosowany gdzie indziej jak po dworach, chłopci kartofle parowali w mieszkaniu, ale teraz nie ma mowy, żeby tyle żarcia uparować na kuchni, więc parnik jest – tylko miejsca dla parnika nie ma. Stoi na podwórku, trzeba przy nim robić w deszcz, w śnieg czy w mróz największy – bo świnie głodne nie będą czekać, im nie przetłumaczysz. Więc przebudowa obory – w istocie jakby od nowa, bo w dwójna-

sób większa, z miejscem na parnik i luzem na ewentualne wmontowanie elektrycznego, parującego na tani prąd poza godzinami szczytu, z osobnym kurnikiem: dach słomiany poszedł won, kładzie się jednospadowy na żelbeton. Roboty przy tym co niemiara, bo i wystarać się o materiał, zwieźć go i przy majstrze – zaprawę, kamień, cegłę podać, przytrzymać, połać wodą – a to wszystko razem z robotą normalną w polu i przy inwentarzu, więc urwanie głowy, ale tu wszyscy jednomyślni, wreszcie będzie i dla wygody i dla wyglądu, więc warto się pomęczyć, a Babcia orzeka, że inaczej by nie mogła spokojnie umrzeć, no bo jak to wygląda, gdy konie, świnie i krowy stłoczone, a jeszcze kury do tego.

Chałupka tylko niepozornie wygląda teraz przy tej szopie i stodole, ale to już chyba Jędrzek zrobi jak się ożeni; może posag młoda gospodyni wniesie, to na dom się przeznaczy.

— Ale skąd wziąć taką, żeby z pieniędzmi chciała do tej harówki się przypisać? — pyta Jędrzek i jest to pytanie rzeczowe.

Już nie te czasy, kiedy rodzice dawali duże pieniądze, żeby wżenić dziecko w gospodarkę, chyba że panna felerna, ale to żaden interes. Była jedna taka na oględzinach u chłopaka w sąsiedniej wsi – ojciec sypie pieniędzmi za nią ile zechcesz, i dziewczyna na oko jak lalka, ale chuchro, a w gospodarce trzeba taką brać, żeby kochała cię nie tylko po robocie, ale w robocie i żebyś ty ją kochał jak robi a nie tylko wtedy jak siedzi, bo inaczej to można tylko gospodarkę zmarnować i przecholerować na siebie nawzajem przez całe życie. Więc lepiej bez posagu, byle charakteru i zdrowia dobrego. Jędrzek nie potrafi oddzielić siebie i w tym miejscu od gospodarki – to znaczy od reszty rodziny, ziemi, inwentarza – bo on razem z tym stanowi całość, i nie z nim wyabstrahowanym, ale z tą całością winna go przyszła towarzyszka życia pokochać. Chwalił raz krewniaka bezrolnego, co się z urzędniczką ożenił: ona go utrzymuje, on tylko gotuje, mieszkanko zamiecie i gołębie z nudów hoduje.

— Czemu ty tak nie zrobisz, urzędniczek bezzennych nie brakuje?

— Dla mnie musiałaby to być wdowa z dwójką-trójką podrastających dzieci, żeby gospodarkę obrobiły — replikuje Jędrzek — a ja na wdowy nie amator. I jest w tej kpinie pestka prawdy.

Tata zahaczył kiedyś o pierwsze lata gimnazjum, wielokrotnie wykazał umiejętność organizowania ludzi – jako przewodniczący komitetu budowy świetlicy czy radny, po wojnie miał propozycje pójścia „na urząd” czy możliwości wyjechania na ziemie zachodnie na lepszą gospodarkę z glebą pszenno-buraczną, i był bynajmniej nie od tego, bo komu się nie uśmiecha ła-

twiejszy los. Ale co będzie z ojcowizną? Gdyby brat nie poszedł „w inteligenty”, chętnie by mu to zostawił, ale tak to komu? Więc trzeba pielęgnować działkę ziemi, a z nią i losu, jaki przypadł i nie narzekać, bo mogłoby być gorzej. Gorzej zaś, to znaczy, gdyby człowiek okazał się leser, czy nimotnik i zapuścił gospodarkę tak, żeby nie było żadnego pożytku ani poszanowania ludzkiego. A tak to nie można narzekać. Nadaża się z postępem i z innymi, jest czym się pochwalić: budynki jak się patrzy, sprzęt potrzebny jest, kobyła własnego chowu premiowana za rasę, ogierka po niej kupili do stadniny państwowej, krowy czerwonopolskie, plony jeśli nie lepsze to nigdy gorsze od sąsiednich, podatki popłacone, a pieniądz na sprzęt i budowlę też nie darowany, ale za sprzedane państwu świnię, jałowiaki, mleko, len. I to wszystko z tych 10 ha piachu i bagiennych sapów, nie dzięki łaskawości ziemi, ale mimo jej niedoskonałości i oporów, zdobyte wysiłkiem, okupione potem i stwardnieniem skóry rąk, przez którą oset ni drzazga nie przebije, pomysłem i sprytem połączonym z uporczywą pracą pomimo zmęczenia a niekiedy i ponad zmęczenie.

Można być pewnym, że Tata z rodziną wytrzyma tempo postępu przekształcającego pejzaż całego kraju i stawiającego wciąż wyższe wymogi i możliwości przed jego dziesięciohektarową częścią Polski.

* * *

W pewnym miejscu nagromadzone przez dziesięciolecia zmiany ilościowe rolnictwa dowiodą w naturalny sposób do nowej jakości: kompleksowo zmechanizowanej i zrjonalizowanej naukowo uprawy ziemi i hodowli. Ujawniać się będzie wyższość większych niż 5- czy 10-hektarowych jednostek gospodarczych i większych niż rodzinne ekip wytwórczych.

Wśród elementów, które trzeba dziś doceniać i pieczołowicie przenosić w przyszłość, musi się znaleźć – obok, a nawet ponad takimi czynnikami jak umiejętności agrotechniczne, nasycenie rolnictwa nowoczesnym sprzętem maszynowym, urasowanie zwierząt hodowlanych i nasion siewnych – cechujące chłopą polskiego poczucie odpowiedzialności za powierzony w pieczę kawałek ojczyzny.